

NA WIEŻY.

Powieść na tle życia paryskiego przez
Fortuné du Boisgobey.

Tłómaczył z języka francuskiego K. W.

14

Ciąg dalszy

Gdy Rozalia pomodliła się przy zwłokach ojca, Daubrac odwiózł ją i Szaszę do barona. Smutno było, ponuro. Łzy, żaloba, widmo zbrodni i zbrodniarza. Meriadec zatrzymał doktora na obiad, a wyczekiwał malarza, który wczoraj solennie przyrzekł, iż o trzeciej na obiad się zgłosi. Czekano na malarza z godziną, a gdy nie przychodził, bez niego do stołu zasiadło przyjacielskie grono. Prócz barona, doktora, Rozalii i Szaszy był jeszcze Kosiński. Rozmowa rosyjska z Kosińskim sprawiała Szaszy ogromną przyjemność i działała kojąco na niego.

Nikommu nie wpadło na myśl, że Fabrequette doznał jakiejś niemiłej przygody na ulicy Marbeuf, lub może naraził się na jakie niebezpieczeństwo. Żartowano sobie z niego, rozmowa zeszła na weselsze tory, dzięki doktorowi, któremu nie brakło nigdy zapasu humoru i pogodnej myśli.

Saint-Briac wróciwszy z obiadu, położył się na otomanie i rozmyślał o tem, czy też Zweimark opuścił Paryż, czy skojarzenie się z baronem i jego przyjaciółmi nie narazi go na jakie nowe przykrości. Myśl kapitana zwracała się wciąż ku Odecie, przy niej krążyła, od niej oderwać się nie mogła. Lękał się o nią, a sobie czynił najdotkliwsze wyrzuty. Ogarniał go też wstyd, że był niewdzięcznym za braterską przyjaźń.

Znużony myślami zaczął drzemać, gdy do drzwi zadzwoniono. Służący zaanonsował przybycie Malverne'a. Zdziwił się kapitan, bo o tej porze Malverne zwykle z biura wraca wprost do domu na obiad. Wybiegł naprzeciw gości, cokolwiek niespokojny, ale starał się to pokryć udaną wesołością.

— A, co za niespodzianka! O tej porze nie zwykłeś nikogo odwiedzać — zawołał Saint-Briac.

— Istotnie — rzekł Malverne spokojnie, ale sucho. — Dziś uczyniłem wyjątek.

— Wdzięczny ci jestem niewymownie, że dla mnie poświęciłeś nawyknięcia i systematyczny rozkład czasu.

— Miałem do tego powód dość ważny.

— Widzę, że jesteś jakiś nie swój. Czy ci się wydarzyło co nie miłego? A może ta sprawa morderstwa na wieży nastreczyła ci wiele pracy i uciążenia?

— Do tej chwili jeszcze nie. Dopiero pojutrze staną świadkowie i rzecz się rozpocznie na dobre, zwłaszcza że policja nagromadziła kilka ciekawych szczegółów, a między innymi także i ten, że owa dama, z którą byłeś na wieży, jest zupełnie zdrowa.

Saint-Briac drgnął. Malverne spostrzegł to, spojrział na przyjaciela wzrokiem przeciągłym, rzewnym i rzekł spokojnie:

— Jesteś moim jedynym przyjacielem, którego kocham jak brata, któremu ufam jak bratu, to też przychodzę tu z całym zaufaniem, z wiarą głęboką, że mi powiesz prawdę.

— Ależ oczywiście; czyż możnaby nawet wątpić? — odpowiedział Saint-Briac, wysilając się na to, by ukryć pomieszenie i niepokój.

— Czytaj! — rzekł Malverne i wręczył list przyjacielowi.

Saint-Briac rzucił okiem na pismo. Poznał je; było to pismo Zweimarka. Krew mu się ścięła w żyłach, ale opanował się, i spokojnie powiedział:

— Któż zważa na listy anonimowe? Tylko podli i nikczemni je pisują.

— Mimo tego treść ich może być prawdziwą.

— Chyba nie przypuścisz, że twoja żona...

— Przypomniała sobie dawne uczucia, co?

— Ależ...

— No, mój drogi, sprawę załatwimy prędko. Daj mi na to słowo honoru, że list ten zawiera kłamstwo. Proszę cię, przeczytaj go raz jeszcze, a głośno.

Saint-Briac skamieniał. Zaprzec, dać fałszywie słowo honoru, nie zdoła, raczej śmierć. Wyznać prawdę, to zgubić Odetę. W kilku sekundach przebył męki straszne. Dla Odety poświęciłby życie, ale honoru poświęcić nie może. Co czynić?

— Czytaj — rzekł Malverne głośno; dobitnie, patrząc bystro na kapitana.

— Zaraz — wyszeptał Saint-Briac.

„Owa dama, która miała schadzkę na wieży Notre-Dame z kapitanem Saint-Briac, jest pańska żona. Zawiadamiając pana o tem, dodaje, że równo-

cześniej doniosłem policji, iż kapitana Saint-Briaca niesłusznie aresztowano, gdyż towarzysza jego wycieczki żyje zdrowa i szczęśliwa, przy boku swego oszukiwanego męża“.

— Czekam twojego słowa — odezwał się Malverne z groźną powagą.

Saint-Briac nie odpowiedział, jeno zdjął ze ściany rewolwer i wręczył go przyjacielowi.

— Ukarz mnie, zabij, ale wierząc, że Odeta niewinna.

— A! więc takim byłeś przyjacielem?!

— Zabij mnie, rzucił mi w oczy pogardę, ale nie gardź żoną. Przysięgam ci, że między nami nie było nic, ponad to, co łączyć może brata ze siostrą. Nawet pocałunkiem usta nasze się nie złączyły.

— Czyż wtedy dopiero jest zdrada małżeńska i zdrada przyjaciela, gdy już nastąpi upodlenie, wyuzdanie?

Saint-Briac milczał.

— Dziękuję za szczerość, panie Saint-Briac, dziękuję za to, żeś pan zatrzymał bodaj tę część honoru, która ci nie dozwoliła dać fałszywego słowa. Pozwolisz pan panie kapitanie, że nadam tej sprawie niezwykle obrót. Pojedynku teraz domagać się nie mogę, bo obowiązek urzędowy, a więc honorowy, zniwala mnie do ukończenia dochodzeń o morderstwo. Odwlec go muszę i proszę, abyś pan się na to zgodził. Gdy sprawę o morderstwo ukończę i oddam trybunałowi, pozwolę sobie zaprosić pana na wieżę Notre-Dame, dla załatwienia tego, co między nami zaszło.

To rzekłszy, skłonił się Malverne zimno i wyszedł. Saint-Briac popadł w prawdziwą rozpacz.

VII.

Gdy się zawała zasuwa, Fabrequette popadł w ogromne rozdrażnienie. Bił nogami i pięściami w ściany skrytki; krzyczał, przeklinał, szarpał na sobie odzienie, aż wyczerpany, znużony do upadłego, niemal omdlały, zasnął głęboko. I spał twardo, długo, spokojnie.

Gdy się zbudził, nie wiedział w pierwszej chwili, gdzie jest i co się z nim stało. Ciemno, a więc chyba jeszcze noc, zatem nie ma po co wstawać. Spostrzega, że spał w ubraniu, nie na łóżku. Przypomniał mu się wreszcie straszna rzeczywistość. Ale już w rozpacz nie popada. Nasuwało mu się na myśl, że przecież wiedzą przyjaciele o jego wyprawie na ul. Marbeuf, zatem będą go tu szukali. Ba! czy tylko znajdują w tem siewiome gnieździe? Ej, co! raz kozie śmierć, myślał malarz.

Zaczął być głodnym. To mu znowu rozpaczliwe myśli nasunęło. Umrzeć głodową śmiercią, to straszne! Ależ nie podobna, aby się ośmielono popełnić na nim mord taki, w Paryżu, pod boki władz najwyższych. Ot, droczą się z nim, chcą na nim wymusić pomoc w pochwyleniu Szaszy. Wreszcie będą musieli go wypuścić. A jeżeli nie wypuszczą? Ej, to przecież i samemu uwolnić się można. Wszakże z poza krat i kamiennych murów dobywają się więźniowie na wolność. A tak, ale nie umorzeni głodem! Zanim głód zajrzy w oczy, trzeba się spieszyć.

Pod natłokiem takich myśli, znowu się uspokoił i zaczął przeszukiwać kieszenie, przypomniał sobie, że ma przecież tytoń, zapalki, scyzoryk i rozmaite rupiecie, którymi zwykle wypychał kieszenie. Dobył tytoń, nałożył fajkę i zapalił ją z fantazją.

Sprawiło mu to wielką ulgę, wzmogła się energia, a nawet humor zwolna powracał.

— Czy to noc, czy już dzień? Oho! aniołowie święci ustrzegli mnie, że wczoraj nie zastawił zegarka! Już go chciałem zanieść do lombardu, a pocziwy doktor zaprosił na dobry obiad, dał kilka franków w łapę i obeszło się. Pocziwy doktor! Oj! żebyś ty wiedział, co się ze mną dzieje!

Potark zapalkę, popatrzył na zegarek.

— Szósta! A czy popołudnie, czy rano? Hm. Chyba że rano. Wszak z obiadu wyszliśmy po piątej, na Marbeuf przybyłem koło szóstej; więc teraz chyba szósta rano. Spałem sobie z jakie dziesięć godzin. Dobry sen, chociaż bez pościeli. Szósta rano! Jeszcze też nigdy tak wcześniej nie wstałem.

„Lekkomyślność opanowała łobuza. Zaczął sobie pogwizdywać wesołą aryjkę.

— Hm! hm! trzeba się też rozpatrzeć w tej bezpłatnej kwaterze.

W rupieciach znalazł kawałek stoczka.

— O! przyjacielu zapomniany, jakżeś miły teraz i przydatny!

Zaświecił stoczek, rozgląda się, oswaja ze światłem, które mu się oslepiającem wydało. Wszędzie

pustka, żadnego sprzętu, wilgotne mury. Przypomina sobie, że są przecież drzwi, którymi tu wszedł. Szuka ich, wpatruje się w ściany. Znalazł. Ba! Żelazne, kute grubą blachą. Żadnej klamki w nich, żadnego nie widać zamku. Jakby wmurowana płyta w kamienną ścianę.

— Cyklopy to budowały, czy złodzieje? Pałac to, czy kryminal? Nie lada ślusarz to sporządził; a może kowal? No czy tak, czy owak, kowal zawiął, ślusarza powiesili — toć jeżeli kowal zrobił, ślusarza można pochwalić. Oho! coś tu jest, niby głowa od wielkiego gwoźdźnia. Co ona tu robi? po co ją tu nmieszczono? Pomagam. Ehe! rusza się! obraca! Pod nią otworek, jakby do klucza! Pysznie! Ba! a gdzie klucz? Szkoda, że młota puszczyka o klucz nie poprosił. A to niegrzeczny gospodarz, że klucza gościowi nie zostawił.

Fabrequette zadumał się nad tą dziurką od klucza. Jakże nie dumać? Możliwość otworzyć, gdyby był klucz. Już jest cień jakiejś nadziei uwolnienia się z tej grobowej ciemnicy. Wszakże zamki wytrychami otwierają, a złodziej prawdziwy, to i z gwoźdźnia wytrych robi. Ba! z gwoźdźnia! a gdzież go szukać? Oj! źle! Ha! idźmy dalej. Trzeba zwiedzić kwaterę dokładnie.

I puścił się łobuz na oględziny. Obszedł wszystkie ściany dokoła, ale nie dopatrzył niczego, prócz onych drzwi. Teraz zapędził się na środek. Przy płomyczku stoczek zaledwie na dwa kroki widział przed sobą. Chodzi, rozgląda się. Wszędzie posadzka kamienna, dość gładka, chociaż widocznie bardzo stara. Ku samemu środkowi nieco nierówna, cokolwiek wklęsła. Fabrequette spogląda na prawo i na lewo, idzie zwolna, aż tu na prawo dostrzega długą szparę w posadzce; przypatruje się, a to drzwi żelazne w podłodze. Wstąpił na nie, zadudniały. Postąpił dwa kroki i lewą nogą o coś zawadził, aż się potknął i o mało nie wywrócił. Nachyla stoczek, patrzy, a tu pęk kluczy, z których jeden zasadzony w dziurkę owych drzwi, w posadzce tkwiących.

— A to co? Hej! klucze, dalibóg klucze. A co też tam pod temi drzwiami? Może jakie skarby, przez złodziei ukryte? Gdyby też zajrzeć? Jużci wilków ani tygrysów tam niema, toć mnie nic nie poźre. A może tam jakie szkielety zgładzonych? Może tu przedemną bywali tacy głupcy, jak ja, co się dali wciągnąć w matnię i marnie zginęli, a potem ich tu wtrącono, jak do grobu? To cóż? jeżeli tam są zmarli, to mi nie wyrządzą nic złego. W imię ojca i syna i ducha świętego, amen. Wszelki duch Pana Boga chwali. Spróbować można.

Otwiera, z wysileniem drzwi podnosi i spogląda w dół. Ciemnica bezdenna. Świeci stoczek, nie widzi nic, prócz drabinki, po której widocznie do lochu się wchodzi. Z lochu buchło powietrze wilgotne, piwniczne, stęchłe. Cofnął się. Nagle zdało mu się, że słyszy coś niby jęk cichy, niby stękanie, niby ciężki oddech, coś nieokreślonego.

— Duchy! a może sowy? Może szczury? Kto tam? odezwij się. Jeżeli duch zagłodzonego, to dzień dobry biedaku, towarzyszu niedoli. Wkrótce i ja będę takim duchem zagłodzonego; możemy zawczasu zawrzeć znajomość. Co? Ej, nie odpowiada, tylko charczy, czy mrnczy.

Z lochu odezwał się głos ludzki.

— Ktoś mówi; wyraźnie mówi. Kto tam? Ba! ledwie go słyszał. Głośniej!

Głos ludzki z widocznym wysileniem coś powiedział, ale Fabrequette nie zrozumiał.

— Po jakimu mówisz i kto jesteś?

— Rosyanin — odezwał się głos z lochu.

— A czy żywy, czy umarły?

— Żywy.

Głos mówił dalej z wysileniem, ale Fabrequette nie wiele rozumiał z tego, bo zaledwie co dziesięte słowo było francuskie.

— Idę do ciebie, nieszczęsna maro rosyjska, tylko jak my się rozmówimy?

Fabrequette wszedł ostrożnie na drabinę, świecił stoczek, schodził zwolna, by się rozpatrzeć dokoła, aż stanął na wilgotnej, prawie mokrej podłodze. Był to loch, mający około 3 metrów kwadratowych, niski, sklepiony, istny grobowiec. W kącie leżał związany człowiek siwy, z długą brodą, wybladły, osłabiony.

— Kto jesteś? — zapytał Fabrequette.

— Mikołaj Trofimowicz.

(Ciąg dalszy nastąpi).

